



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: REFLEKSJA NA TEMAT REPORTAŻU

Na niedzielę 18 marca - wczesne godziny popołudniowe - zapowiedziany był w drugim programie Telewizji reportaż Lucyny Smolińskiej i Mieczysława Sroki: „Tak bali się legendy o nim”. Tytuł znaczący tyle, co nic. Rano zadzwonił kolega: - Oglądasz dzisiaj reportaż na temat Hubala?

- Jaki reportaż, gdzie? Tu, w programie nie ma...

- Jak to - nie ma... „Tak bardzo bali się legendy o nim”. W gazecie jest wyjaśnienie, że reportaż na temat Hubala.

- Aha...

Więc problem pierwszy: tytuł, jego znaczenie. Jeżeli ja, autor dwóch książek o Hubalu i jego żołnierzach, rzuciwszy okiem na tytuł w telewizyjnym programie przesunę się po nim obojętnie, ani podejrzewając, że chodzi o jedną z najpiękniejszych, najbardziej - swego czasu - kontrowersyjnych postaci polskiego ruchu oporu, to, co mówić o tzw. szerokim widzu, do którego wszak ów reportaż - śmiem się domyślać - jest zaadresowany?

Dzień i godzina: zgoda, reportaż idzie, jako „powtórka”; zrealizowano go w 1975 r. i wówczas był prezentowany w pierwszym programie. Lecz jeżeli już zdecydowano się pokazać go jeszcze raz, to, dlaczego właśnie w porze, gdy wszyscy zasiadają do niedzielnego obiadu? W dodatku - akurat w połowie marca, a nie w okolicy 30 kwietnia, kiedy przypada kolejna rocznica śmierci majora Henryka Dobrzańskiego? Żeby było dziwniej - reportaż dotyczy właśnie sprawy śmierci i poszukiwań mogiły Hubala...

Staram się śledzić to wszystko, co ukazuje się w druku lub na ekranie na temat Hubala i hubalczyków, ale tak się złożyło, że „Tak bali się legendy o nim” mogłem obejrzeć dopiero teraz, po raz pierwszy.

Patrzyłem na ten reportaż z mieszanymi uczuciami. Raczej przez pryzmat osobistych wspomnień, z okresu, gdy szedłem „Tropem majora Hubala” i „Śladami hubalczyków”, wspomnień o spotkaniach z tymi niemłodymi już ludźmi, którzy przed kilkudziesięciu laty, konno i zbrojno, wśród niemieckich oddziałów przemierzali lasy Kielecczyzny, a dzisiaj są „zwykłymi” ludźmi, wykonującymi „zwyczajne” zawody.

Zobaczyłem na ekranie znajomą twarz Henryka Ossowskiego, „Dołęgi”, adiutanta Hubala. I przypomniał mi się zimowy wieczór w Borowiczkach koło Płocka, samotny dom na wzgórzu, nad starym zakolem Wisły, śnieżna ponowa leżąca na polach, ogień płonący w kominku i długa opowieść „Dołęgi” - dyrektora pegeeru - o okolicznościach, w jakich zginął Hubal. Jak rozważaliśmy każdy szczegół, każdą chwilę pamiętnego poranka, aby najdokładniej odtworzyć tamtą sytuację, próbować zbliżyć się do prawdy.

Potem zobaczyłem zagrodę Laskowskich na skraju wsi Anielin, w pobliżu zagajnika, gdzie kula dosięgła Hubala i przypomniałem sobie jak stałem na tym podwórzu w zimny, wietrzny wiosenny dzień, spoglądając długo na miejsce, gdzie kiedyś Niemcy fotografowali się przy zwłokach Majora. I zaraz potem pokazał się na ekranie listonosz Stefan Roszkowski z Poświętnego. Wskazywał na znajomą mi lipę koło klasztoru, opowiadając z właściwą sobie swadą i zaangażowaniem. I jeszcze - „Dago”, Jan Sekulak, oddziałowy śpiewak, akordeonista; a przede wszystkim - żołnierz. Od lat zbiera materiały polskie i niemieckie dotyczące sprawy Hubala. Precyzyjnie rekonstruuje stare, podniszczone zdjęcia z oddziału. Ileż godzin przegadaliśmy w jego warszawskim mieszkaniu na Grochowie!

Lecz reportaż oglądany w telewizji nie o tych ludziach mówił. Oni potrzebni byli, jako „prezenterzy”, przedstawiający i komentujący dawne wydarzenia.

W pewnym momencie również problem, który przedstawiali autorzy: jak i dlaczego Niemcy obawiali się narastania wśród społeczeństwa polskiego legendy o bohaterskim żołnierzu, jak chcieli później przedstawić się w korzystnym świetle podkreślając jakoby „rycerskie” zachowanie się wobec pokonanego przeciwnika - otóż ten problem zaczął się w pewnej chwili chwiać i łamać...

Bo oto kamera zaczęła nas prowadzić od cmentarza do kostnicy szpitalnej, od jednej leśnej mogiły do drugiej, mikrofon rejestrował wiarygodne relacje, ale także najbardziej fantastyczne opowieści „świadków”. Aż wreszcie kazano nam wraz z kamerą zstąpić w otwarty przez komisję ekshumacyjną grób nieznanego partyzanta, przyglądać się pracy aparatu do wykrywania min, który penetrował - na wszelki wypadek - zawartość mogiły, patrzeć jak naukowcy obracają w rękach każdą grudkę gliny. Aby wreszcie dowiedzieć się, że nic z tego, grób jest pusty...

Przyznam, że patrzyłem na to z dużym niesmakiem. Popieram ideę szukania grobu Hubala. Doceniam pracę naukowców. Szanuję i podziwiam zapał ludzi, którzy chcą dociec prawdy. Ale czy koniecznie musi się włączyć z kamerą filmową do czyjegoś grobu?

I tu jest kolejny problem. Dla każdego reportażysty: znalezienia sensacyjnego tematu, ale uniknięcia sensacyjności: postawienia problemu, ale zarazem - umiejętności przeżycia go.

Lecz na to trzeba czasu. A czas jest wprost proporcjonalny do trudu, jaki musi pokonać tradycyjny reporter „pieszy”, aby poznać te same fakty, jakie zdobywa - o ileż szybciej! - jego

kolega wspierający się o „technikę”. Chociaż Karabasz, chociaż Kieślowski... No i tu znowu wyłania się problem dokumentu, reportażu filmowego i reportażu telewizyjnego...

Ja się przyzwyczailem, wolę zostać przy swoim ołówku.

Pierwodruk: „Kamena”, 1979, nr 7, s. 14.